

ZAPIS SPOTKANIA Z PROFESOR ANNA MARTUSZEWSKĄ – (GDAŃSK, 23 MARCA 2011)

Profesor Feliks Tomaszewski: Zanim przejdziemy do rozmowy, pozwolę sobie na osobisty akcent. Miało to miejsce 12 czerwca 1976 roku. Siedziałem przed drzwiami pokoju, wtedy jeszcze 129, i czekałem. Zza drzwi wychyliła się, wtedy jeszcze pani doktor, dzisiaj Pani Profesor Anna Martuszevska i powiedziała: „Pan do mnie?”. „Tak”. To był mój egzamin z historii literatury.

Proszę państwa, dzisiaj moja sytuacja pozornie wydaje się o wiele bardziej komfortowa, bo to ja będę egzaminował Panią Profesor, myślę, że to będzie także egzamin z życia. Ale muszę powiedzieć, że kiedy wchodziłem za Panią Profesor do tej sali, to ciągle słyszałem zwrot „Pan do mnie?”. Czyli moja sytuacja nie jest taka komfortowa.

Przygotowując się, chciałem, aby pytania i problemy dotyczyły dzieciństwa i młodości. Zauważyłem teraz, że nie ma na tej dwuelementowej liście dojrzałości. Ale to nie znaczy, że tej fazy nie ma. Myślę, że możemy zacząć. Jest dwudziesty trzeci marca, godzina 15.05, ruszamy z naszą podróżą w czasie. Chciałbym – jeżeli to będzie możliwe – Aniu, Pani Profesor, abyś zabrała nas do czasu, który pamiętasz z Ostrowi Mazowieckiej albo Skarżyska-Kamiennej. Chciałbym, abyśmy, zanim będziemy mówili o Twojej edukacji i Twoim warsztacie pracy naukowej, również zobaczyli Ciebie jako człowieka.

Profesor Anna Martuszevska: Dziękuję bardzo. Materiały pogładowe chcę załączyć. To są moje świadectwa ze szkoły powszechnej z okresu Generalnej Guberni bez żadnych pieczętek. Zobaczcie państwo, jaki tam był układ przedmiotów (są prawie same piątki, ale takie były świadectwa wszystkich), jak ograniczone były te przedmioty, i jaka to w ogóle była szkoła. Druga rzecz to terażniejszość – niektóre z moich przeróbek zdjęć. O Ostrowi Mazowieckiej nie potrafię wiele powiedzieć. To była pierwsza praca mojego ojca, który przedtem dziesięć lat studiował na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Nie dlatego studiował dziesięć lat, że się słabo uczył, po prostu historia się w to wdała, najpierw legiony, potem wojna polsko-bolszewicka, potem udział w plebiscycie na Śląsku. Po skończeniu studiów był bezrobotny, nie mógł pracy znaleźć, przez pewien czas pracował w Ilustrowanym Kurierze Codziennym, chyba w charakterze gońca. W tej Ostrowi byłem przez pierwsze cztery lata, nie pamiętam nic, poza tym, że leżałam na zielonym kocu albo gdzieś na łące, gdzie przyszedł kaczor i mnie trochę postraszył. Ale myślę, że to nie była żadna symbolika przyszłości.

Potem przenieśliśmy się do Skarżyska, gdzie ojciec objął odpowiedzialne stanowisko w elektrowni. To był okres, kiedy już było po kryzysie i budowano Centralny Okręg Przemysłowy. Naprawdę określiło moje życie jedno wydarzenie, mianowicie pierwszego września roku 1939 miałam iść do szkoły, do pierwszej klasy. Nie byłam taka genialna, bo się nie nauczyłam przedtem czytać jak mój kuzyn, który czytał, mając cztery czy pięć lat (bo się nauczył, kiedy mama uczyła czytać służącą). Inna sprawa, że mnie nikt nie uczył czytać. Miałam iść do szkoły, ale nie poszłam, bo kilka dni przed pierwszym wrześniem cała rodzina ewakuowała się z firmą ojca na wschód. Zapędziliśmy się do Lwowa i okolic, na granicę polsko-rosyjską, po drodze przeżyliśmy wiele razy bombardowania, niekiedy bardzo mocne. Siedemnasty wrzesień nas zastał na terenach dzisiejszej Ukrainy, w Maciejowicach. Wracaliśmy

przez zieloną granicę do Generalnej Guberni. Szkoła, do której miałam pójść, dostała nowy piękny budynek, który przed wojną był budowany. Został on zaanektowany przez Niemców dla dzieci niemieckich czy volksdeutschów. Myśmy się uczyli w jakichś bardzo podłych mieszkaniach, niemieszkaniach, warunki były fatalne. Ta polska szkoła w Generalnej Guberni nie miała żadnych praw, bardzo okrojony program. Nie było w nim na przykład w ogóle historii. Nie było podręczników, bo polskie przedwojenne były niedopuszczone, a innych nie było. Jedynym źródłem drukowanym, którym się posługiwała nauczycielka, było bardzo szmatławie pismo pod tytułem „Ster”. To pismo pamiętam z dzieciństwa, były w nim strasznie głupawe historyjki.

Ten początek wojny miał dla mnie takie znaczenie, że miałam masę lalek, jak każde pierwsze dziecko w rodzinie, o które wszyscy dbali. Kiedy uciekaliśmy, te nieszczęsne lalki śniły mi się po nocach, że za mną płaczą, bo nie pozwolono mi żadnej z nich ze sobą zabrać. Jak wróciliśmy, poszłam do szkoły, nauczyłam się bardzo szybko czytać. Co z lalkami? Poszły do kąta, chyba zostały sprzedane, nie pamiętam, co się z nimi później stało. Jeden jedyny miś ocalał. Jednym słowem to pierwsze dzieciństwo się w tym momencie skończyło.

Szkoła nie była dla mnie problemem. Żaden przedmiot nie sprawiał mi specjalnych kłopotów. Nauczycielka była dobra, polonistka zresztą. No i zaczęłam czytać, i to czytać bardzo, bardzo dużo. Od tamtej pory czytałam dużo i szybko. W tempie takim dość ekspresowym. Wiele razy tłumaczyłam, że opłaca się czytać bardzo szybko, przerzucać nawet, a tylko to, co się naprawdę podoba albo to, co trzeba z jakichś względów zapamiętać, można czytać powoli. Należy wówczas czytać powoli, ewentualnie wracając drugi, trzeci raz.

Szkoła średnia (już w Gdańsku właśnie) nie sprawiała mi kłopotów, za żadnym z przedmiotów specjalnie nie przepadałam, chociaż nie cierpiałam historii, może dlatego, że nauczycielka była zła. Natomiast języka polskiego uczył mnie polonista, który miał wykształcenie gruntowne, chyba miał taki przedwojenny stopień wykształcenia, który dawał doktorat. W każdym razie pamiętał Młodą Polskę i wiele razy opowiadał nam o Krakowie tamtych lat. Nie wiem, co z tego mógł naprawdę pamiętać, a czego nie.

Dlaczego polonistyka potem? Matematyka szła mi łatwo, nie miałam problemów. Podobnie biologia czy geografia. Natomiast z polskiego... jakoś nie dostawałam piątek. Myśmy wtedy, ponieważ w klasie były też dzieciaki z gdańskiej polonii, które bardzo źle pisały po polsku, z lekcji na lekcję pisali wypracowania. Wiem, że nie wszyscy je pisali, często tak było, że przedstawiano któreś poprzednie wypracowania, nauczyciel nie sprawdzał wszystkich dokładnie, ale ja pisałam bardzo wytrwale. Wreszcie zaczęłam dostawać te piątki. A jednocześnie okropnie dużo czytałam. Czytałam właściwie wszystko, co się znajdowało na półkach. To się wiązało z pewnym epizodem z mojego życia, który zdecydował o pewnych rzeczach. Mianowicie, kiedy miałam niespełna dwanaście lat (urodzona we wrześniu, a to było w lipcu), ojcu groziło aresztowanie. Przyszedł znajomy i powiedział ojcu, żeby uciekał, bo następnego dnia będzie aresztowany. To było Skarżysko. Całą rodziną poszliśmy do znajomych na drugi koniec miasta i pierwszym rannym pociągiem pojechaliśmy nazajutrz do Warszawy. Całą rodziną i słusznie. To był lipiec 1944 roku, a w sierpniu, jak państwo doskonale wiedzą, wybuchło powstanie. Ojciec poszedł do powstańców, ale nie miał w tym rejonie żadnych znajomych, nikt nie mógł za niego po prostu poświadczyć, nie miał broni, jednym słowem, nie pozwolono mu walczyć. Koniec końców to był ósmy sierpnia, po wielu bombardowaniach... ja byłam okropna patriotka wtedy. Do tej pory jestem patriotką, ale już nie tak zagorzała jak wtedy. Czytałam Dąbrowskiej *Dzieci ojczyzny* w tamtym czasie, bo akurat znalazłam to u kuzynów, u których mieszkaliśmy w Warszawie. No i męczy mnie to, w wieku lat dwunastu chciałam się poświęcić dla ojczyzny. Byłam naprawdę zdegustowana, kiedy sły-

szałam, jak panie z tego samego domu, z tej samej kamienicy, mówiły o powstaniu, jaka to jest nierozsądna, jaka nierozważna rzecz, jak wszystkich nas powstańcy wykończą. Jednym słowem byłam przerażona tymi rozmowami. No ale ósmego sierpnia nas wygnano, bo Leszno opanowali Niemcy, no i wszystkich wygnano z domów, wyprowadzono w takim długim marszu w stronę Dworca Zachodniego, a potem pojechaliśmy stamtąd do Pruszkowa. Brat mój został wtedy ciężko raniony przez strzelca, który strzelał z tyłu. No, to szersza historia, ale od tej pory właściwie do zrywów narodowych miałam bardzo duży dystans, bo po prostu nie potrafię zaaprobować hasła „mierz siły na zamiary”.

F.T. Jak wyglądała twoja podróż...?

A.M. A, Pruszków. Potem, ponieważ brat był bardzo ciężko ranny i leżał w szpitalu w Pruszkowie, a myśmy mieszkali u kuzyna matki w Pruszkowie, matka zniknęła na całe dni w szpitalu, gdzie leżał brat, a ja byłam całkiem wolna. Bo jeszcze jedno, tego ósmego sierpnia ojciec i wszyscy mężczyźni z kamienicy zostali od nas odseparowani. Byliśmy pewni, że idą na rozstrzelanie, ale po pewnym czasie okazało się, że wywieźli ich do Niemiec. Natomiast myśmy się znaleźli w obozie w Pruszkowie. Po około dwóch, czy może półtora dnia, dzięki takim klejnotom wetkniętym na przejściu, ja i ciotka wyszłyśmy (a matka z bratem nawet jeszcze wcześniej). W tym Pruszkowie nie miałam nic do roboty, szkoły nie było w tym czasie, bo był jeszcze sierpień. Chodziłam do wypożyczalni. Przeczytawszy wspomnienia Michała Głowińskiego, zorientowałam się, że to była ta sama wypożyczalnia, ale Michał tam był trochę później, bo on trafił do Pruszkowa chyba wtedy, kiedy ja już z niego wyjechałam.

Wypożyczalnia była bogato zaopatrzona. O ile to było możliwe, nie pytano się specjalnie, co kto pożycza. Ja wypożyczałam absolutnie wszystko, o czym myślałam. Wtedy czytałam między innymi całą Rodziewiczównę, byłam przekonana, że nikt tak jak ona nie opisałby tego, co się działo w powstaniu (to chyba po przeczytaniu *Pożarów i zgliszcz*). No ale oprócz tego czytałam jeszcze masę innych rzeczy. Nie było wtedy za wiele lektur specjalnie dla dzieci, ponadto po powstaniu ja się nie czułam dzieckiem, a nawet i przedtem po prostu nie było co czytać, czytałam wszystko, co było w domu. W ogóle też nikt mnie nie kontrolował. Trylogię przeczytałam jeszcze przed wyjazdem do Warszawy. Jednym słowem – czytałam masę takich lektur, których znajomość potem procentowała na studiach, bo nie musiałam nawet większości czytać drugi raz.

F.T. Później był Gdańsk. Jaki obraz Gdańska zapamiętałaś? Przecież to był czterdziesty piąty rok.

A.M. Przeróżające ruiny, przerażające. Myśmy mieszkali we Wrzeszczu, tam akurat takich ruin nie było, ale przecież chodziło się do centrum Gdańska... Co prawda ja widziałam Warszawę podczas powstania, kiedy cała ulica się z obu stron paliła, a myśmy byli pędzeni między tymi dwoma szeregami palących się domów. Ale Gdańsk robił naprawdę przygnębiające i takie przerażające wrażenie w pierwszym zetknięciu.

Ze szkołą, i z harcerstwem chodziliśmy do Gdańska, żeby odgruzowywać. Dzisiaj to wygląda czasem śmiesznie, ta robota: „podaj pan cegłę”, ale to były czyny naprawdę społeczne, nikt za to nie dostawał pieniędzy. To było konieczne. Ileś spychaczy by tego nie zrobiło, co zrobili ludzie bez bicia, bez zmuszania. Jednym słowem to było też radosne, znaleźć nawet kawałek, o którym było wiadomo, że potem będzie częścią bramy czy okna. Tak mię-

dzy innymi właśnie odgruzowywałam ulicę Mariacką. Wiele z tego, cośmy podnieśli, można było później znaleźć w budynkach (przedproża).

Ta odbudowa w pierwszych dniach była i potrzebna, i jakaś radosna. Podobnie nauka. Ja miałam pełne przekonanie, że jeżeli by się utrzymała na naszych ziemiach Rzesza niemiecka, to Polacy nie mieliby prawa wstępu ani na wyższe uczelnie, ani do żadnego wyższego wykształcenia. Po prostu ta szkoła polska w jakiś sposób pełna była wszystkiego, co było wartością i nie należało tego marnować. W dodatku mój ojciec wtedy pracował przy uruchamianiu elektrowni, przy elektryfikacji Żuław. Widziało się, jak te roboty postępują, jak one są potrzebne. Jednym słowem, ten pierwszy okres Polski na ziemiach gdańskich, to nie było tylko zniewolenie przez Rosjan, jak to się teraz czasem przedstawia, ale jednak radosne odbudowywanie z powrotem tej Polski, jaka była, z nadzieją nawet, że będzie jeszcze lepsza.

F.T. A czy był bal maturalny?

A.M. Nie pamiętam... [*śmiech*] Myślę, że był, ale... myśmy wtedy chodzili ubrani byle jak. Najczęściej chodziłam do szkoły w jakiejś granatowej bluzie, którą rodzice dostali dla mnie z UNRRY, jednym słowem nikt by takiego ciucha dzisiaj nie chciał włożyć. Podobne problemy byłyby z sukienką na bal maturalny, ale bal chyba był... Nie pamiętam, naprawdę.

F.T. Dobrze, chciałem oto zapytać później, ale wiem, że to zagadnienie jest Ci niezmiernie bliskie. Benjamin Franklin mówił, że zdrowy rozsądek to rzecz, której każdy potrzebuje, mało kto ją posiada, a nikt nie wie, że mu brakuje. Wiem, że zajmowałaś się w pracy o Prusie kategorią zdrowego rozsądku. Co o tej kategorii myślisz, patrząc na naszą współczesność?

A.M. W ogóle zdrowy rozsądek jest na pewno bardzo potrzebny, ale chyba o tym później. Tu chciałam powiedzieć o moich studiach.

F.T. Tak...

A.M. Pierwszych, wuespowskich. Byłabym w kłopotcie, gdyby padło pytanie, kto wtedy był moim mistrzem. Dlaczego? Po prostu nie mam chyba w charakterze zdolności do uwielbiania jakichś mistrzyń czy mistrzów. Dla mnie kult pani profesor Marii Janion był niezrozumiały. Ale być może także na tych pierwszych studiach wuespowskich nie bardzo kogo można było uwielbiać. To znaczy, to nie było takie złe grono. Uczył nas poezji doktor Marian Des Loges, który przed wojną pisał prace strukturalistyczne. Teoretycznie powinien uczyć z punktu widzenia marksistowskiego, ale analizował poezję właśnie z punktu widzenia strukturalistycznego. Tyle, że to było co nieco nudne... Jeden wiersz Norwida chyba cały rok przerabialiśmy. [*śmiechy*] Nawet go nie umiem na pamięć.

F.T. Dobrze. A później to Ty stanęłaś przed grupą uczniów i studentów...

A.M. Ale chciałam jeszcze powiedzieć coś o mistrzach. Profesor Bukowski, u którego pisałam doktorat później, był człowiekiem uczciwym, ale bez polotu. Nie umiał za sobą porwać. Regionalizm kaszubski – to było, moim zdaniem, coś potwornego jako przedmiot. Jedyną

osobą, która właśnie potrafiła porwać, był najpierw doktor, potem docent, a później profesor Edmund Rabowicz. Analizował rozmaite poematy heroikomiczne z taką pasją. Z Rabowiczem na trzecim roku studiów moja grupa już była na stopie zupełnie koleżeńskiej. Przeszliśmy na ty. Rozmawialiśmy na tematy naukowe, światopoglądowe i inne całkiem, właśnie na stopie koleżeńskiej. Bo właśnie, tu już kończę o swoich studiach, dla mnie daleko ważniejsi byli koledzy niż wykładowcy. To była sprawa zapewne przypadku, ale na moim roku był Jerzy Michno, późniejszy docent i późniejszy dyrektor instytutu, był Benek Krakowski, też później doktor i pracownik uczelni. Był profesor późniejszy, Tadeusz Oracki, był Ryszard Tomczyk, który też zrobił doktorat z teatru. Został później malarzem. Było jeszcze kilka osób, które porobiły doktoraty, a pamiętajmy, to były pierwsze trzy lata bez magisterium, ale istniał jakiś taki nastrój, że należy właśnie zrobić jak najwięcej w sensie naukowym, nie zadowalać się minimum, ale robić maksimum.

F.T. No to teraz przejdźmy do tego momentu w Twoim życiu, kiedy to Ty stanęłaś przed grupą studentów jako wykładowca.

A.M. Dobrze. Zaczniemy od tego, że kiedy byłam jeszcze na WSP, uczyłam się metodyki oczywiście i prowadziłam lekcję pokazową przed całą moją grupą, taki był zwyczaj. To było koszarne. Lekcja dotyczyła literatury staropolskiej w dodatku. Nie mam awersji do literatury staropolskiej, ale jej po prostu nie kochałam i nie Kocham. No i jednym słowem, lekcja oceniona została na trójkę, co i tak było wysoką oceną, sama uważałam, że była na dwójkę. Ale na trzecim roku studiów mieliśmy praktyki, ja w Tczewie, w którymś tam liceum i o dziwo nawet mi się dobrze prowadziło te zajęcia. Pierwsze zajęcia ze studentami miałam we Wrocławiu. Byłam jeszcze na studiach, kiedy mi zaproponowano asystenturę w katedrze marksizmu-leninizmu. Zgodziłam się na to, bo wyszłam akurat za męża i chciałam być niezależna finansowo od rodziców. A mąż nie mógł mnie absolutnie utrzymywać, sam był studentem wtedy, w dodatku mieszkał w Toruniu. Co prawda dostawał stypendium, zresztą najwyższe, i on więcej miał tego stypendium niż ja zarobku na stanowisku asystenckim, a może też lepiej gospodarował tymi pieniędzmi. Podjęłam tę pracę i nie była ona ciekawa ze względu na przedmiot zajęć, ale w dydaktykę się wciągnęłam. Potem drugi mój taki dydaktyczny ciąg zdarzył się, kiedy zaczęłam prowadzić zajęcia z filozofii na WSP. Mianowicie kiedy już kończyłam robić doktorat, zaczęłam chodzić na wspaniałe zajęcia profesor Ireny Szumilewiczowej. To był najlepszy dydaktyk, jakiego spotkałam w życiu. Ona po prostu umiała, niczym Sokrates, wyciągnąć z człowieka to, co on wiedział albo myślał, że wie. Doprowadzić do tego, że człowiek formułował pewne prawdy filozoficzne, myśląc, że to są jego własne prawdy. Jednym słowem, naprawdę była doskonałym dydaktykiem i ona też mi zaproponowała prowadzenie zajęć w Wyższej Szkole Pedagogicznej z filozofii. To robiłam. Nieżyjąca już Miłka Bukowska-Schiellmann była moją studentką wtedy.

Nie wiem, czy to robiłam dobrze. Pierwsze zajęcia z poetyki prowadziłam na Studium Nauczycielskim, a później Wyższym Studium Nauczycielskim, czyli to były lata już siedemdziesiąte (69/70). I te zajęcia z poetyki lubiłam prowadzić, bardziej nawet niż później z teorii literatury. Uczyłam młodszych kolegów, że trzeba się trzymać tekstu, nie mówić wszystkiego, co tylko przyjdzie do głowy, a szukać w tekście tego, co w nim naprawdę jest. Te zajęcia mnie jakoś pasjonowały, dały mi w jakiś sposób stan pewności. Pokazanie komuś, jak można zrozumieć wiersz, który przestaje się dzięki temu wydawać trudny i niezrozumiały. To, jednym słowem, jest takie badanie, które każdemu nauczycielowi czy dydaktykowi powinno dawać satysfakcję.

F.T. Twoim doktoratem była praca *Pozycja narratora w powieściach Elizy Orzeszkowej*. Chciałbym, abyś powiedziała, jak to się dzieje, że zajmujesz się taką problematyką, jak na przykład narrator w powieści Orzeszkowej czy poetyka polskiej powieści dojrzałego realizmu (myślę tutaj o Twojej habilitacji). Gdzie znajdujesz zapłon, gdzie znajdujesz pomysły, jak wygląda Twój dzień pracy?

A.M. Pięć pytań w jednym... ale, o Orzeszkowej, proszę państwa, doktorat chciałam robić, żeby z biblioteki Studium Nauczycielskiego, w której wtedy pracowałam i w której praca mnie śmiertelnie nudziła, się wyrwać. I myślę sobie: „zobaczmy, co z tego będzie”. Dziecko już wtedy nieco podrosło, mogłam trochę przebywać w bibliotekach, ale właśnie tylko trochę. Między innymi dlatego wybrałam Orzeszkową, bo jej teksty były w Trójmieście dostępne, nie trzeba było jeździć do Warszawy. Ponadto ja lubię i to o dziwo wczesną Orzeszkową, nie Orzeszkową z *Chama*, nie Orzeszkową z *Dwóch biegunów*, a lubię te wczesne tendencyjne powieści, one w jakiś sposób ukazują wiarę tej młodej dziewczyny (bo Orzeszkowa je pisała, jak była jeszcze naprawdę młodą osobą) w to, że można ludzi zmieniać, że trzeba w jakiś sposób szerzyć to, co się uważa za wartościowe, że istnieje postęp. Ta wiara Orzeszkowej była trochę naiwna, ale ona mnie właśnie przekonywała do niej. Chciałam najpierw pisać nie o narrato-rze, ale w ogóle zrobić doktorat o powieści tendencyjnej Orzeszkowej, ale ten doktorat był już częściowo napisany, a w całości przemyślany, kiedy ukazała się ni stąd ni zowąd praca Marii Żmigrodzkiej *Orzeszkowa. Młodość pozytywizmu*¹. Co wtedy robi człowiek? Na pewno się załamuje, ale u mnie to jakoś długo nie trwało, pomyślałam: „materiał jest, czemu pisać o wszystkich problemach, wystarczy o narrato-rze”. Narrator był wtedy modny. To, co zrobiła Żmigrodzka na temat narratora w swojej książce, dla mnie było nieprzekonujące i w jakiś sposób spojrzalam na to krytycznie. Dlatego też okropnie się potem bałam, kiedy Żmigrodzka została recenzentką mojego doktoratu. Ale miałam dwie recenzentki – profesor Joannę Kulczycką-Saloni oraz profesor Żmigrodzką. Profesor Kulczycka-Saloni przyjęła doktorat bardzo chłodno, z komentarzem, czy to w ogóle warto pisać o takich nic niewartych kwestiach jak powieści tendencyjne Orzeszkowej. Ja uważałam, że warto. A profesor Żmigrodzka nadzwyczaj, nadzwyczaj pochlebnie ten doktorat przyjęła. Muszę państwu powiedzieć, że ja się bałam tej obrony publicznej, wtedy były bardziej publiczne obrony niż teraz. I właśnie profesor Żmigrodzka, już wchodząc na salę mówi do mnie: „W porządku, niech się pani nie boi, doktoratów się bać nie warto, co innego habilitacja” [*śmiech*]. Otóż, gdy potem robiłam habilitację, to recenzentką, jedną z trojga (bo wtedy było trzech recenzentów, ilu jest teraz, nie wiem) też była profesor Żmigrodzka i jej to przypominałam. Uśmiechnęła się.

F.T. A dzień pracy? Jak wygląda Twój dzień pracy? Bo jak pytałem właśnie o doktorat i o twoją pracę, to bałem się, że odpowiesz jak bohaterka jednej z twoich książek, Maria Rodziewiczówna, która w ankiecie ogłoszonej w 1897 roku na pytanie, jak pracuje, odpowiedziała: „A bo ja wiem...” [*śmiech*]. Jak wygląda Twój dzień pracy?

A.M. On wyglądał zupełnie inaczej w latach mojej młodości, kiedy dziecko było małe, kiedy można było pracować dopiero wieczorem, a inaczej wygląda teraz, inaczej wyglądał jeszcze podczas pracy, mianowicie w początkowych latach pisałam nocami, najpierw pisałam tylko

¹ M. Żmigrodzka, *Orzeszkowa. Młodość pozytywizmu*, Warszawa 1965.

ręcznie. Później, w okresie habilitacji, nauczyłam się pisać na maszynie, ale naprawdę odechnęłam, od kiedy piszę na komputerze i od razu pierwszą partię na komputerze.

Ale to wygląda tak, że ostatnia moja książka ma chyba dziesięć wersji (nie, przesadzam, cztery na pewno), bo pisząc, poprawiając, zostawiam wersje poprzednie, ponieważ czasem się do nich wraca. Jednym słowem... jak wygląda dzień pracy? Obecnie wstaję między ósmą a dziewiątą, lecę po sprawunki, chleb, następnie wpół do dziesiątej, dziesiątej, siadam przy komputerze, przeważnie piszę wtedy, czasem też czytam, ale jednocześnie robiąc też jakieś notatki na komputerze albo skanuję niektóre strony. O dwunastej jemy drugie śniadanie... bardzo regularny tryb życia, ja doszłam do wniosku, że trzeba się nauczyć regularności, żeby to utrzymać na starość. Po kawie spacer, najczęściej w stronę morza, najczęściej nad morzem. Po powrocie jakaś lektura, no i obiad. Po obiedzie dalsze lektury, już teraz bardziej naukowe, i tak do wieczora, z przerwą na podwieczorek, o piątej kolacja. Wieczorem czytam coś zupełnie lekkiego. Na przykład czytam powieści Jane Austen, po raz któryś Dickensa, którego bardzo lubię. Czasem jakieś romanse, czasami kryminały, ale kryminały mnie nudzą ostatnio. Chyba tyle, tak wygląda ten dzień.

F.T. Cała Twoja wypowiedź zawierała elementy humorystyczne, więc chciałbym Cię zapytać o rolę humoru. W jednej z twoich prac jest bardzo wyraźnie powiedziane, że dobry humor jest jak oset — chętnie wyrasta na zwaliskach, kaleczy dobrze uformowaną gębę, ale cieszy niewymownie osłów [*śmiech*]. Pytam o rolę humoru w kontaktach międzyludzkich, w dydaktyce, w tekstach. Jest humor w twoich tekstach – wiem. Że jest w dydaktyce – też wiem, bo pamiętam zajęcia.

A.M. Na pewno humor jest rzeczą cenną i potrzebną. U mnie humor się wiązał z ojcem, który śpiewał czasem nawet sprośne piosenki przy dzieciach; po prostu opowiadał rozmaite dowcipy. Ponadto cenię, jak Prus ujął humor. Humor polega na ujmowaniu rzeczy z dwóch stron. Nie jednostronnie, tylko właśnie z dwóch różnych punktów widzenia. Tak też widział to Izaak Passi, który pisał o humorze właśnie coś podobnego, zauważył, że humor to jest takie głębokie widzenie rzeczywistości. Humor w dydaktyce jest rzeczą potrzebną. Nie znoszę patosu, mówienia *ex cathedra*. Często humor jest jedyną drogą, żeby dotrzeć do audytorium.

F.T. Ja jeszcze chciałbym Cię zapytać o podróże, o fotografię i o muzykę, ale, proszę państwa, może byście włączyli się w naszą rozmowę? Proszę o pomoc i pytania z sali. Z zastrzeżeniem, że o podróżach chciałbym, żebyś powiedziała najpierw.

A.M. Dobrze, to powiem o podróżach. Mianowicie to też się chyba zaczyna od ojca, który jeszcze przed wojną całą rodzinę w każdą niedzielę wyganiał na jakąś wycieczkę: na Rejowiec czy nad Kamienną, a czasem do lasu. Ojciec był w młodości organizatorem harcerstwa, to mu jakoś zostało do ostatnich lat życia. Wyjeżdżał na ryby, pod pretekstem ryb uciekał z domu, ryb nie przywoził, ale przywoził za to obrazki malowane przez siebie, akwarelki, które bardzo lubię... to się chyba tak zaczęło. Za życia ojca jeździliśmy z mamą bardzo często rowerami na wycieczki, nawet na dłuższe. A także na narty. Natomiast mąż mój anty-sportowiec jest, ale za to dobry piechur. Z nim zaczęliśmy w każdą niedzielę chodzić właśnie na wyprawy szlakami Trójmiasta, a także wyjeżdżać, najpierw do krajów demokracji ludowej, potem, kiedy już można było mieć paszport, do prawie wszystkich krajów europejskich.auta nie mamy, to były wyjazdy ze zbiorowymi wycieczkami, niemniej jednak bardzo jestem zadowolona,

bośmy jednak zobaczyli całkiem spory kawał świata, ja porobiłam setki zdjęć, które teraz wszystkie są na komputerze.

F.T. To są całe szafy zdjęć.

A.M. To, swoją drogą, są slajdy, ale te slajdy przeskanowałam na komputer i one już są właśnie w tej chwili na komputerze wszystkie, posegregowane krajami, tematami...

F.T. Jak wytrzymałaś dwadzieścia lat jako szef Zakładu Teorii Literatury? Jesteśmy zgranym zespołem, ale jak ci się to udało?

A.M. Proszę państwa, w ogóle uważam, że uczelnia to jednak nie na tyle sprawa mistrza i uczniów, a zgranego zespołu. Taki zespół miałam na studiach na swoim roczniku, taki zespół profesor Józef Bachórz stworzył z WSN-u i ludzi, którzy tam wchodzili w grę. Jednym słowem zespół, w którym osiągnięcie jednego jest zarazem osiągnięciem innego. Nie konkurencja jakaś, ale sytuacja, w której to, że ktoś coś zrobił, nie jest przeszkodą dla mnie, że ja chcę coś zrobić. Otóż ja do tego dążyłam i w Zakładzie, ale do końca mi się to nie udało. Chciałam, żeby tak było, częściowo się może udało.

F.T. Dziękuję. Ewo [*prof. Tomaszewski zwraca się do prof. Ewy Nawrockiej*], słyszałem, że chciałaś w ramach prezentacji utworów wygłosić tekst.

Profesor Ewa Nawrocka: Może nie tyle chciałam wnieść trochę dowcipu (ale nie trzeba tutaj wnosić dowcipu, pani profesor Martuszevska sama jest osobą pełną humoru i dowcipu), ile chciałam coś przeczytać państwu, którzy nie należą do naszego Zakładu Teorii Literatury, bądź jeszcze nie należeli wtedy, kiedy żegnaliśmy się z panią profesor Martuszevską jako naszym kierownikiem podczas uroczystości pożegnalnej w lesie na Kaszubach. Czasami mnie napada taka głupawka i rymami częstochowskimi wypisuję różne wierszyki. Wtedy napisałam *Balladę o Annie z Sopotu*, którą chcę państwu przeczytać, bo jest rodzajem charakterystyki profesor Anny Martuszevskiej.

BALLADA O ANNIE Z SOPOTU

Posłuchajcie ludkowie mojej opowieści
O Annie z Sopotu – niezwyklej niewieście!
Nikt Jej nie dorówna w wiedzy i mądrości,
Ani w pism uczonych ogromnej ilości!
Żadne słowo nie wysłowi, pióro nie opisze...
Jej cnót wszelkich – tu zaczynam laudację
i proszę o ciszę...

Gdy chcesz wiedzieć, co Cię czeka za lat dziesięć lub roków
ćwierć kopy,

Idź do Anny, ta wie wszystko, co to horoskopy.
Wie też przy tym – a przyznacie – wyczyn to niemały –
Jak wytropić zbrodnię w morzu i jak pisać kryminały.

Kto zna Annę chociaż trochę – z łatwością to przyzna,
że potworów oswajanie to dla niej łatwizna.
Jak to robi? Chyba śpiewem, albo grą na rogu,
Wszak egzamin to też dla niej gra toczona z pomocą dialogu.
Choć nie kocha feministek, z nimi się nie czubi.

O kobietach, pannach, wdowach opowiadać lubi.
Romans przed nią, zwłaszcza polski, stoi bez osłonek.
Heroinę w niebo bierze w szeleście koronek (z desusów)
Bestię z piękną koligacją bez zgorszenia miny,
I rozbiera też „tę trzecią” bez poczucia winy.

Tropi głupców i prześmiewców, śledzi kapłanów bez kryzy,
Wie w jakich pozycjach zdybać narratora u Pani Elizy!
Współżyje ze zwierzętami, wącha zioła i kwiaty,
Podróżuje w prawdziwe i literackie światy,
Słucha szumu Dewajtisa,
Nie potrzebna jest jej wiza,
By zwiedzać krainy fantastyki.
Rozsiewa tam swoje blaski.

Życzymy jej lat wiele!
Żyj nam sto lat Anno Droga!

Twoi, bynajmniej nie teoretyczni, PRZYJACIELE

F.T. Ja jeszcze tylko dodam, że ten fragment o horoskopach, który się tu pojawił w wierszu-
-laudacji profesor Nawrockiej prawdopodobnie nawiązuje do opublikowanego w “Tekstach”
z siedemdziesiątego szóstego roku artykułu naszego gościa właśnie o horoskopach².

[*głos z sali*]: Całość utkana jest z aluzji do tytułów jej prac.

A.M. To było kilka lat temu, książek przybyło tymczasem.

² A. Martuszevska, *Horoskopy, czyli świat uporządkowany*, “Teksty: teoria literatury, krytyka, interpretacja”, nr 2 (1976), s. 143–152.

F.T. Ja wiem, że Pani Profesor nie lubi patosu i już nieraz karciała mnie za patos, a nie daj Boże patos kierowany właśnie w jej kierunku. Natomiast ja jestem głęboko przekonany, że muszę powiedzieć, że pod tymi drzwiami w tamtym roku siedzieliśmy we dwoje, to znaczy ja i moja małżonka tu obecna na sali, ona weszła jako druga. Także muszę dodać, że na tej sali siedzi tu i pani profesor Anna Kubale i pani profesor Nawrocka, które wtedy dawały nam nauki pod czujnym okiem naszego dzisiejszego gościa. Pani profesor Martuszevska jest takim pasterzem światów możliwych i niemożliwych. W tych światach możliwych i niemożliwych mieszkają także smoki. Ja wiem, że pani profesor ma całe stado smoków, a tego małego udało mi się schwytać pod Wawelem, on jest jeszcze młody, zielony i myślę, że wiele radości sprawi Pani Profesor [*prof. Tomaszewski wręcza prof. Martuszevskiej prezent – figurkę smoka, oklaski*].

A.M. Bardzo, bardzo sympatyczny. Ja naprawdę lubię smoki, one zawierają w sobie taką masę możliwości i baśni. Kiedyś gdzieś pisałam o tym, że jedną z pierwszych moich lektur były *Baśnie* braci Grimm. Dostałam na pierwszą gwiazdkę, chyba już podczas wojny, taki wielki tom *Baśni* braci Grimm w tłumaczeniu Ireny Tuwim. Ponieważ nie znosiłam jadać kaszek, więc kaszkę jadałam tylko wtedy, jak mi opowiadano baśń albo czytano. Zdaje mi się, że ja byłam chytra, to znaczy nie znosiłam tych kaszek coraz bardziej demonstracyjnie, po to, żeby mi coraz więcej czytano, opowiadano.

Potem to jest sprawa fantastyki naukowej, pan Maciej Dajnowski, nie ma go...

[*głosy z sali*]: Jest, jest!

A.M. Pan Dajnowski doskonale wie, że u Lema są właśnie smoki prawdopodobieństwa, jednym słowem, to jest taki motyw w bardzo wielu dziedzinach kultury popularnej. A ja po prostu czytam rzeczy zarówno z bardzo górnej półki, na przykład literaturę iberoamerykańską, jak i właśnie literaturę popularną, wszystko w różnych porach dnia.

Doktor Magdalena Horodecka: Ja bym chciała zapytać o przyjemność uprawiania teorii literatury, jeśli istnieje coś takiego. Mówimy o przyjemności tekstu, o przyjemności lektury, ale czy istnieje przyjemność teoretyzowania? To po pierwsze, taki detal, a drugie pytanie trochę bardziej procesualne. Wyobrażam sobie, domyślam się, że Pani Profesor przeżyła w czasie swojej aktywności teoretycznoliterackiej i wciąż obserwuje właśnie pojawianie się, zanikanie, powracanie przeróżnych szkół teoretycznoliterackich, mód, metodologii. Czy z perspektywy właśnie swojej aktywności naukowej mogłaby Pani Profesor opowiedzieć o osobistej historii teorii literatury, jak to wyglądało przez te lata obecności tu na uczelni?

A.M. Zacznę od tego, że osobiście najbardziej cenię jako teoretyka literatury Romana Ingardena. Ale nie wiem, czy na studiach w ogóle słyszałam nazwisko Ingardena. Jego teksty były zupełnie nieobecne w latach pięćdziesiątych, nie było ich w ogóle. Oczywiście Ingarden został przełożony na język polski dopiero w 1961 roku, ale ja studia kończyłam wcześniej. Pewne rzeczy były przecież znane, także przed wojną niektórzy teoretycy znali przecież Ingardena teksty niemieckie, ale Ingarden przestał być wydawany i wspomniany. Otóż kiedy ja przeczytałam Ingardena w okresie doktoratu, naprawdę się tą koncepcją przejęłam i cały czas w swojej dydaktyce przywiązywałam do niej dużą wagę. Nawiasem mówiąc kiedyś profesor Bukowski próbował mnie zapytać, kogo ja uważam za swojego mistrza. Oczywiście nie odpowiedziałam, że jego, jak by może należało, ale mówię „No chyba nikogo...”, a on mówi: „A profesora Markiewicza nie?”, ja mówię: „Chyba nie... Wie pan kogo naprawdę? Chyba jednak Romana

Ingardena”. Bo mnie imponowała u Ingardena precyzja języka, precyzja myślenia, jakaś szczegółowość rozumowania każdego problemu teoretycznoliterackiego. Czy nic potem nie było, po Ingardenie, w teorii literatury? Było i jest dużo, na pewno tacy badacze jak Lubomir Doležel i jego teoria światów możliwych w zastosowaniu do literatury. Może jej nie aprobuję bezkrytycznie, ale częściowo aprobuję. Ze współczesnych teoretyków Ryszarda Nycza może, natomiast Anna Burzyńska na przykład nie bardzo³, nie tak dawno czytałam i brakuje w niej absolutnie krytycyzmu wobec koncepcji na przykład Sławińskiego, które są jednak w pewien sposób dyskusyjne. Czy to wystarczająca odpowiedź?

M.H. A przyjemność teoretyzowania? Czy istnieje coś takiego?

A.M. Czasem tak, w ogóle proszę państwa jest przyjemnością rozważanie rzeczy z kilku stron, prawda? A jak by to powiedział ktoś inny – a jakby właśnie wyobrazić sobie jakąś zupełnie inną opcję? Ja lubię teoretyzować. Nim powstanie jakaś książka wiele razy zastanawiam się, czy to jednak nie mogłoby być inaczej? W życiu prywatnym też zawsze wyobrażam sobie rozmaite scenariusze, rozmaite możliwości, jak by to się mogło inaczej potoczyć, ale w życiu bardzo prędko trzeba się rozstać z teorią, bo praktyka się na ogół nie układa tak, jak myślimy. A w nauce jednak można rozważyć rozmaite koncepcje, niekoniecznie zaaprobować jedną z nich, a może kilka właśnie. Czy to wystarczy?

F.T. Proszę państwa, miały być kolejne pytania, nie wiem, komu mam przekazać mikrofon.

A.M. Ja może państwu objaśnię te obrazki [*pani profesor pokazuje zdjęcia*]. Te obrazki to są moje zdjęcia, które przerabiam na komputerze tak, jak mam ochotę. To też jest pewnego rodzaju możliwość. To są autentyczne zrobione przeze mnie zdjęcia, które później przekształcam komputerowo.

Marcin Romanowski (student): Pani Profesor, jaki wpływ na pani drogę polonistyczną wywarła praca dydaktyczna ze studentami?

A.M. Może niekoniecznie ze studentami. Z doktorantami na pewno. Podsuwali mi wiele razy lektury, których nie znałam. Pokazywali mi, że dany tekst można rozumieć inaczej. Czasem ukazywali takie właśnie kierunki, których ja pierwotnie nie dostrzegałam. Jednym słowem, bardzo wiele zawdzięczam właśnie doktorantom. Studenci mniej, bo prace magisterskie, które prowadziłam, przeważnie nie dotyczyły teorii. Założyłam, nie bez podstaw, że przeciętny student ma za mało wiedzy, żeby pisać pracę magisterską z teorii literatury, bardziej z poetyki teoretycznej, to tak. Ale jeżeli chodzi o doktorantów, o kolegów, to na pewno wiele zawdzięczam, ale powiadam, przede wszystkim doktorantom.

Profesor Anna Kubale: Jesteś człowiekiem, który ma ogromny dystans do siebie, do różnych spraw i chciałam Cię spytać, gdyby spojrzeć z dystansu na twoją twórczość naukową, co byłoby w niej głównym nurtem? Dla mnie ciekawym było to, że od badania narracji powieści tendencyjnej idziesz w stronę światów możliwych, to samo widać w fotografii, tak mi się

³ A. Burzyńska, *Anty-teoria literatury*, Kraków 2006.

wydaje. Od takich fotografii, które są odtwarzającymi rzeczywistość do tych pięknych, wspaniałych, które tutaj przedstawiłaś, które są właściwie takim odsłanianiem możliwych światów, w kolorystyce, w kompozycji. Czyli, jeszcze raz, co w twoim poczuciu stanowi wiodący nurt twoich badań?

A.M. Taki *leitmotiv* to jest problematyka literatury realistycznej. W swojej ostatniej książce⁴, czyli w tej książce o prawdzie w powieści, piszę o tym, co mnie naprawdę niepokoi, jak wielu badaczy współczesnych uważa, że literatura nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Ja po prostu uważam, że literatura w rozmaity sposób opisuje rzeczywistość, przedstawia ją. Zawsze mnie interesowało, jak ona to robi i dlaczego ludzie uważają albo nie uważają, że tę rzeczywistość przedstawia. Jednym słowem najciekawsza jest literatura realistyczna, ale niekoniecznie taka zwykła, lecz także posługująca się symbolem i parabolą. To jest także jakaś metafora dotycząca społeczeństwa ludzkiego, jego natury biologicznej, jego głównych nurtów, sposobu życia w społeczeństwie. Jednym słowem, chyba zawsze mnie interesowało, jak i dlaczego literatura mówi o rzeczywistości. I dlaczego badacze tego nie widzą, nie chcą widzieć. Właśnie w tej ostatniej książce analizuję styl estetyczny i mimetyczny. Nie odkrywam tutaj niczego nowego, ale chodzi mi o to, że badacze na ogół czytają w sposób zgodny ze stylem estetycznym, zaś zwykły czytelnik czyta, najczęściej szukając w literaturze jednak jakiegoś odzwierciedlenia tego, co zna. To nie musi być odzwierciedlenie realistyczne, może być paraboliczne, także zupełnie metaforyczne, ale szuka jakiegoś odbicia rzeczywistości, a nie tylko przyjemności tekstu, w sensie, w jakim ujmuje to Roland Barthes.

Profesor Grażyna Tomaszewska: Pytanie z perspektywy osoby zajmującej się dydaktyką, czy raczej przygotowującej nauczycieli do szkoły. Proste pytanie, na które, ja wiem, że nie sposób odpowiedzieć, ale interesuje mnie jakakolwiek diagnoza na ten temat. Po pierwsze, jak myślisz: po co człowiek czyta? W ukryciu jest bowiem drugie pytanie: co się dzieje z człowiekiem, który nie czyta albo dlaczego człowiek przestaje czytać?

A.M. Nie wiem, czy przestaje czytać...

G.T. No może Ty nie, ale ja mówię właśnie o problemie młodzieży, młodzież przestaje czytać. Takie przerażające są wyniki badań socjologicznych, statystyki, które mówią o tym, ile społeczeństwo czyta, że młodzież czyta coraz mniej.

A.M. Mnie się wydaje, że często tu jest rozdzieranie szat, które po prostu jest niesłuszne. Dlaczego? Dlatego, że zawsze, od dawna, tylko część społeczeństwa była w kręgu wysokiej kultury. Otóż całe społeczeństwo to byli analfabeci, czytało tylko gdzieś dziesięć procent. Albo jeszcze mniej, kiedy teksty były po łacinie i trzeba było jeszcze znać łacinę, i jeszcze umieć czytać. Następnie, owszem, w dwudziestym wieku kultura rzeczywiście poszła do mas. Ale niecała kultura, zdecydowana większość lektur to była literatura popularna. Być może dzisiaj to wyglądałoby lepiej, gdyby naprawdę uwzględniano całość lektur, naszego czytelnictwa. Bo statystyki biblioteczne na przykład z reguły nie uwzględniają czytelnictwa harlequinów. Ja wiem, że w mojej bibliotece harlequiny są, ale ja je tylko kartkuję przeważnie, dlatego także,

⁴ A. Matuszewska, *Prawda w powieści*, Gdańsk 2010.

że następną dużą książkę chcę napisać o romansach właśnie. Otóż powiadam, te statystyki biblioteczne w ogóle ich nie uwzględniają. Harlequiny na przykład się pożyczają bez żadnych kartek bibliotecznych, nikt tego nie notuje. A jednak to jest też lektura – że podła, to podła, ale...

[głos z sali]: Uwzględniają to...

A.M. Dalej, ktoś nie miał w ręku żadnej książki, ale na przykład czytał teksty na komputerze. Niektórzy tak czytają, to też obcowanie z kulturą, jednym słowem nauczyciele chyba przesadzają. Albo też jeśli młodzież czyta Harry'ego Pottera, bądź co bądź jest to kilka całkiem grubych tomów. Jednym słowem, czytanie to nie jest tylko czytanie Miłosza na przykład czy nawet Jane Austen.

G.T. Dziękuję za bardzo optymistyczną odpowiedź.

Roksana Blech (studentka): Henryk Markiewicz, który podobnie jak Pani Profesor zajmuje się wieloma epokami literackimi, jest też teoretykiem literatury, napisał kiedyś tekst, w którym przyznał, że największą sympatię czuje jednak do pozytywistów i gdyby miał możliwość porozmawiania, zapytania o coś jakichś pisarzy, chciałby właśnie porozmawiać z pozytywistami. I stąd moje pytanie, z kim Pani Profesor chciałaby porozmawiać, gdyby było to możliwe?

A.M. Ja nie wiem, czy on by chciał ze mną rozmawiać, ale na pewno z Prusem. Na pewno to jest moim zdaniem najciekawszy polski pisarz dziewiętnastowieczny. Jeżeli chodzi o charakter, to nie wiem, czy bym polubiła Orzeszkową, ale ona mi imponuje jednym – odwagą. To znaczy ona pisała nie tylko takie rzeczy, do których cenzura i Rosjanie mogli mieć pretensje, ale pisała rzeczy, do których jej własny naród miał pretensje. Przeciwstawiała się środowiskom tradycyjnym i bardzo zacofanym. Jednym słowem powiadam, na pewno mam dla niej szacunek. Na pewno nie Sienkiewicz.

Profesor Józef Bachórz: Ja właściwie o to mógłbym zapytać poza dzisiejszym spotkaniem i nawet ze dwa razy przypomniało mi się, że chciałem Cię o to zapytać, ale odkładałem na potem. To byłoby pytanie, a właściwie prośba o zeznanie, mianowicie (ponieważ zajęcie, o którym mówię, jest raczej babskie niż męskie), czy piszesz pamiętnik? A jeśli tak albo nie, to dlaczego?

A.M. Nie, nie piszę.

J.B. A dlaczego?

A.M. Pisałam w latach studenckich, ale jak to przeczytałam rok później czy dwa, to czym prędzej to zniszczyłam, bo było głupie, ponadto człowiek piszący pamiętniki nadaje zbyt dużą wagę czemuś, co było nieistotne w gruncie rzeczy. Napisałam w życiu jeden czy dwa wiersze i też były ohydne. Tych nawet w domu nie mogę znaleźć, bo kiedyś chciałam znaleźć,

żeby je zniszczyć, ale nie znalazłam. Jednym słowem, mam dużo krytycyzmu. A jeśli chodzi o pamiętniki, to mnie na ogół jest obce pragnienie takiego *coming outu* jak to się mówi, czyli takiego odkrycia się (nie mówię o tym już wąskim znaczeniu, jakie nadają mu czasem osoby, które ujawniają swój homoseksualizm), ale w ogóle są rzeczy, o których chyba nigdy nikomu nie powiem i uważam, że tak być powinno. Nie należy o wszystkim mówić. Nie mam pretensji do innych ludzi, kiedy to robią, ale sama nie.

F.T. Proszę państwa, jeżeli ktoś z państwa chciałby zapytać jeszcze naszego gościa, to proszę, ale czas spotkania powoli dobiega końca. Jeżeli nie ma pytań, to chciałbym podziękować bardzo serdecznie Pani Profesor za spotkanie i za... [*wypowiedź profesora Tomaszewskiego zagłuszają oklaski*].

A.M. Ja muszę przyznać, że spodziewałam się gorszych pytań, takich sprawiających kłopot w odpowiedzi.

F.T. Dziękujemy państwu bardzo.

Redakcja:
Nina Telefus i Elian Strugała